

Ile miejsca dla kultury?

Dzięki współpracy z Łódzką Okręgową Izbą Architektów RP w Łodzi spotkanie mogło odbyć się w jej siedzibie, Przystanku Architektura, czyli zrewitalizowanym przez Izbę dawnym dworcem tramwajów podmiejskich (przekazanym przez miasto). Rozmowę moderowała Joanna Glinkowska, prezeska stowarzyszenia „Obszar Wspólny”, pisząca na łamach „Kalejdoskopu” o młodej sztuce i inicjatorka zajęcia się przez nas tematem kultury w przestrzeni publicznej. Zaczęła od przywołania przypadku opisanego przez Filipa Springera we wstępie do książki „Miasto szczęśliwe” Charlesa Montgomery’ego – wycinki parku w Rybniku, by w jego miejscu powstało osiedle mieszkalne, co wywołało protesty mieszkańców miasta. Zdaniem Glinkowskiej ujawnił się w tym rozłam między dwoma sposobami myślenia o mieście i o przestrzeni w mieście: z jednej strony miście, które jest podporządkowanie dochodowi (model oparty na fetyszyzowaniu wzrostu gospodarczego), z drugiej strony miście, które ma być dla ludzi, ma być miastem szczęśliwym. A gdzie w tym kontekście jest przestrzeń dla kultury?

Z takim ostrym przeciwstawieniem dwóch wizji miasta, ale i dwóch różnych sfer jego istnienia, nie zgodził się Maciej Musiał, przedstawiciel ŁOIARP: – Niepotrzebnie na samym początku rozdzielamy te problemy jako dwie zupełnie różne rzeczywistości. Nie znam miasta, które byłoby wyłącznie miastem dla mieszkańców, którzy nie uprawiają jakichś zawodów, nie prowadzą działalności zawodowej czy innej. I nie znam miasta, które byłoby wyłącznie przemysłowe. Miasta to wszystko, również kultura, która mieści się pomiędzy jednym a drugim skrzydłem.

– Jestem malarzem i nie mam recepty na to, jak być powinno, jak pieniądze powinny iść, gdy chodzi o wspieranie artystów czy szeroko rozumianej kultury – przyznał Dariusz Fiet, jeden z bardziej rozpoznawanych łódzkich malarzy, który niedawno własnymi siłami otworzył Galerię Ultramarina. – Z reguły mnie to nie interesuje, czasami tylko niektóre rzeczy doświadczają mnie jako artystę pracującego w tym mieście i ze wszystkich sił starającego się utrzymać. Wydział Kultury magistratu w moim życiu za bardzo nie istnieje, może czasami bardziej mi przeszkadza niż pomaga. Ale nie wiem, jak być powinno. Nie jestem z tych, co uważają, że artysta powinien mieć jakieś przywileje, wręcz przeciwnie – przywileje rozleniwiają. Rozdawnictwo pieniędzy prowadzi do koleśowskich układów. Ja bym to zlikwidował, może byłoby zdrowiej. Ostatnio starałem się o swoją galerię – miasto nie chciało mi pomóc. Ze swojego doświadczenia mówię, jaki miasto ma stosunek do artystów. Ale może na to zasługują.

Bilbao czy Barcelona?

Do przywołanego przez Joannę Glinkowską tzw. efektu Bilbao (dużych inwestycji w duże instytucje, które zmieniają charakter miast i aktywizują kulturę) odniosła się Aleksandra Litorowicz, osadzona w warszawskim środowisku artystycznym kulturoznawczyni, badaczka sztuki w przestrzeni publicznej, redaktorka „Notesu na 6 tygodni” i współautorka wystawy „Place. Instrukcja użycia” mającej niedawno finał w Zodiaku – Warszawskim Pawilonie Architektury: – Efekt Bilbao jest bardzo trudny do powtórzenia z różnych względów. Wolę, jeśli mówimy o fenomenach, a fenomeny, działania oddolne, efekt „wow” to są różne skale. Miasto jest różnorodne i nie można przeważać szali na jedną czy drugą stronę. Ciekawszy jest np. „efekt barceloński”, wiele miast się od niego uczy. Gdy w latach 80. Barcelona przygotowywała się do olimpiady, postawiła nie tylko na infrastrukturę sportową, ale także na pasaż, sztukę w przestrzeni ulicznej. Zajęła się nie tylko ringiem i miejscami, które były związane z wydarzeniami sportowymi, ale także rewitalizacją dzielnic oddalonych od centrum. Do tej pory, gdy jedziemy do Barcelony, oglądamy wielkie budynki przy plaży, sztukę w przestrzeni publicznej, nowe place zabaw z dziełami sztuki Richarda Serry i tak

dalej. Czy wyciągnęliśmy jakieś wnioski, choćby artystyczne czy związane z przestrzenią publiczną, i zrealizowaliśmy je podczas przygotowań Polski do Euro 2012? Czy to nam coś dało jako społeczeństwu, naszej kulturze i sztuce? O takich efektach możemy mówić wiele, ale pytanie, czego potrzebujemy jako miasto.

- Ale kto to jest to miasto? Czy miasto to ludzie? - pytał Fiet. - Zróbmy konkurs na pomnik i rozstrzygniemy go demokratycznie. Mamy już rzeczy poddane takiej ocenie. Na Piotrkowskiej podoba się ludziom np. fortepian Rubinsteina, jest to więc jakoś demokratyczne. Tak jak disco polo się podoba. Tylko czy ma być jakaś święta komisja, która powie, jaka sztuka jest dobra, a jaka zła? To dylemat nie do rozwiązania. W historii rozwiązywał to tzw. rynek, mecenas sztuki, niekoniecznie państwowy. Miasto postawiło pomnik jednorożca z Japonii. Bardzo ciekawy przykład, daje dużo do myślenia, o tym jak to jest, gdy oddać miastu takie decyzje.

Place do negocjowania

- W kwestii tego, kto ma decydować o tym, co znajduje się w naszej przestrzeni: komisja, czy mają się odbywać konkursy. My badaliśmy place w Warszawie - ponad trzydzieści - i sztukę w ich przestrzeni. To, co w ostatnim czasie działo się z tymi placami, było konfliktem związanym właśnie z takimi pytaniami - przyznała Aleksandra Litorowicz. - Odbyła się dyskusja, co ma być na placu Defilad: zieleń czy beton. Potem dyskusja o placu Trzech Krzyży: czy ma być parking, i o placu Bankowym: czy ma być strefą dla mieszkańców. Głos „samochodowców” był bardzo słyszalny. Zadawane są też pytania o pomniki - jakie grupy powinny być upamiętniane, czy to w ogóle ma sens, jeśli tak, to w jaki sposób. Muzeum Sztuki Współczesnej przedstawił na wystawie prototypy pomników: pomnik sfeminizowanej pracy, długu publicznego - to tematy, które zdaniem jednych powinny wybrzmieć w naszej przestrzeni, a zdaniem innych nie. Badaliśmy place właśnie dlatego, że negocjujemy na nich swoją miejskość. Na placach manifestowaliśmy (teraz mniej, bo przestrzeni na manifestacje już nie ma - jak na Wall Street, gdzie nie ma placów, protestuje się na krawężnikach).

Zdaniem Litorowicz nie ma recepty na to, czy sztuka w przestrzeni publicznej powinna się pojawiać, czy coś zmienia czy nie. Postulatem, który współtworzyła w efekcie badań, było włączenie artystów w projektowanie przestrzeni publicznej. Nie tylko na ostatnim etapie, gdy mają przyjść i zrobić zegar czy fontannę, ale wcześniej - przez włączanie ich w interdyscyplinarne zespoły projektujące nasze miasta.

- Wydaje się, że to jest oczywiste. Tylko że gdy tworzy się taki plac, to nie ma tam architektów, którzy powinni mieć sprawczy wpływ na to, jak to będzie wyglądało - przyznał Maciej Musiał. - Posługuje się pani warszawskim doświadczeniem i ma pani materię, na której można budować teorie i wyciągać wnioski. W Łodzi zaś jest bardzo mało placów, jesteśmy miastem ulic. Przy okazji budowy Nowego Centrum Łodzi próbujemy stworzyć taką przestrzeń, która może będzie miała bardziej kulturalny wymiar. Sama jej patronka, Katarzyna Kobro, powinna coś oznaczać dla tego miejsca. Podobnie jak sąsiedztwo dużej instytucji kultury, która może będzie oddziaływała na tę przestrzeń zewnętrzną. Instytucje nie zawsze oddziałują w ten sposób. Mamy w Łodzi fajny architektonicznie budynek i znaną scenę Teatru Wielkiego, ale rzadko albo w ogóle nie widzę tego teatru funkcjonującego w przestrzeni placu miejskiego o charakterze przecież reprezentacyjnym. Zdarzyło mi się tam kiedyś oglądać „Carminę Buranę” na jednej z pierwszych odsłon Festiwalu Dialogu Czterech Kultur. Kiedyś śpiewał tam Bocelli, spontanicznie gromadząc 10 tysięcy ludzi. Ale nie ma aktualnej aktywności teatru na zewnątrz.

Aura miast

W kontrze do spektakularnych wydarzeń i punktowej działalności kulturalnej Joanna Glinkowska

poprosiła o podzielenie się doświadczeniem w budowie „alternatywnego domu kultury” Michała Sobolewskiego, szefa klubokawiarni Owoce i Warzywa – czym był ten lokal i dlaczego jego model został zmieniony. Sobolewski skomentował najpierw przywołane na początku rozmowy dwa modele myślenia o mieście: – Ten dylemat jest związany z krótkowzrocznością i pazernością. Wycięcie parku i postawienie osiedla to szybki zysk. Moim zdaniem chyba nie ma miast przyjaznych, dobrze zaprojektowanych, z dobrze funkcjonującą sztuką publiczną, które byłyby niedochodowe. Może to dłuższa perspektywa i trzeba poczekać na efekty. Nie jest to szybki zysk dla władzy czy osób związanych z handlem, ale takie miasta przyciąga, są dobrym miejscem do życia.

I przywołał Tempelhof w Berlinie – wielkie lotnisko, które, jego zdaniem, w Polsce zostałyby zagospodarowane pod budowę nowych osiedli, a tam zostało pozostawione właściwie w niezmiętej formie i udostępnione ludziom do spędzania wolnego czasu. Bez żadnych nakładów inwestycyjnych stało się jedną z większych atrakcji turystycznych miasta.

– Natomiast do otwarcia klubokawiarni skłoniło mnie poczucie, że kultura nie powinna być okazjonalna, bo to nie wielkie wydarzenia decydują o tym, czy miasto jest miastem kultury. O tym decyduje to, czym miasto emanuje na co dzień. Do miast kojarzonych z kulturą, jak Barcelona, Berlin czy Nowy Jork, nie jeździ się na konkretne wydarzenia, tam jeździ się przez cały rok, bo ludzie wiedzą, że na każdym kroku mogą się natknąć na coś ciekawego. Chodzi o aurę tych miejsc, ich architekturę, codzienne koncerty, wystawy – mówił Sobolewski. Zaś jako powód ograniczenia działalności kulturalnej Owoców i Warzyw podał konieczność dokładania do niej własnych pieniędzy. – W pewnym momencie limit się skończył. Działalność kulturalna dawała satysfakcję, ale nie byłem w stanie zapłacić nią pracownikom.

– To znakomicie ilustruje to, co powiedziałem: nie ma dylematu między mieszkańcami, którzy kontemplują wolny czas a biznesem, przemysłem. To jedno continuum, które wypełnia kultura i nie da się zrobić jednego kosztem drugiego. Posługiwanie się przykładami światowych stolic kultury nie pasuje mi jednak do mojej rzeczywistości – przyznał Maciej Musiał.

Prawo jako baza

Zaproszony do rozmowy Marcin Brzozowski, który wraz z autorskim Teatrem Szwalnia świętuje właśnie 10-lecie działalności, przyznał, że podziela opinię dotyczącą przywilejów artystów. Jego zdaniem Szwalnia jest teatrem niezależnym od roszczeń. – Natomiast jest zależny od miasta, a jeszcze bardziej od ludzi. Działamy poza napięciem między biznesem a kulturą, w oparciu o wymianę i dobrą wolę. Uważam, że to jedyna forma, w której można robić prawdziwy teatr. Postanowiliśmy stworzyć takie miejsce oddolnie. W pewnym momencie doszedłem do wniosku, że nie będę sam decydował o tym, czy to miejsce ma istnieć, ale zapytam o to ludzi, którzy w tym współuczestniczą, czyli widzów. Powiedzieli: chcemy. Mówią to za każdym razem, gdy ogłaszamy konieczność wsparcia nas. Jest jednak pewien system organizacyjny czy prawny, który nie przewiduje takich wariacji jak my, zatem władze miast mają tu ograniczone możliwości – mówił, wskazując na relacje, jakie łączą podmiot kultury organizowany na wzór inkubatora kultury z mechanizmem samorządowego wsparcia dla takich inicjatyw.

Na pytanie, czy potrzeba wdrożenia jakichś rozwiązań systemowych, odparł: – Każde takie miejsce musi mieć wsparcie, jakieś minimum bezpieczeństwa pracy. Trudno mi powiedzieć, jakie powinno być rozwiązanie systemowe. Byłoby fantastycznie, gdyby takie działania oddolne miały możliwość bazowania na jasno określonych prawnych rozwiązaniach.

Kultura... później

- Jeśli chodzi o rolę kultury w mieście, to niedawno rozmawiałem z panią prezydent. I mówiła, że kulturą zajmie się później, bo najpierw musi naprawić miasto - przyznał Marcin Polak, twórca portalu MiejMiejsce.pl, współtworzący Galerię Czynną, animator kultury, współautor Manifestu Wolnej Kultury Łodzi i inicjator szeregu rozwiązań podejmowanych przez miasto (np. stypendia i rezydencje artystyczne). - I ja panią prezydent trochę rozumiem. Środki na kulturę powinny być w umiejętny sposób dystrybuowane. Co do roli artystów i nadawania funkcji przestrzeniom publicznym, to są w Łodzi miejsca tworzone przez artystów, ale nie do końca działają tak, jak powinny. Pasaż Róży Joanny Rajkowskiej jest atrakcją turystyczną, a z drugiej strony od trzech lat walczę wraz z Joanną o tablicę mówiącą o tym, o czym w ogóle jest ta praca. Że to nie jest błyskotka, ale odnosi się do choroby córki artystki. Banalna sprawa, a nie może być załatwiona szybko. Podałem się. Drugi przykład to Muzeum Kanału Dętka, które zostało wymyślone przez artystę Roberta Kuśmirowskiego i stworzone razem z Krystyną Potocką z Galerii Manhattan, również dzięki miastu. Ale teraz wydaje się, że tej Dętki już w ogóle nie ma.

Jako trzecie miejsce, które mogłoby być zagospodarowane przez artystów, wskazał adres po synagodze przy ul. Wolborskiej. Dodał jednak, że dla ludzi pracujących w kulturze zarabianie pieniędzy to jest „rzeźbienie w g...” (wmyśl zasady: tu coś zrobisz, tam coś zrobisz), ale wraz z miastem jemu i innym aktywistom udało się coś zmienić. - Od kilku lat działa system stypendialny dla artystów, zmienił się regulamin przyznawania artystom pracowni, pojawiły się lokale dla kreatywnych. Ludzie z innych miast czy z zagranicy zazdroszczą nam takiego miejsca jak Fabryka Sztuki. Nie jest więc tak źle - puentował. Choć dodał, że z drugiej strony nie powinno dochodzić do tak niejasnych i nieuregulowanych sytuacji, jak ta, w jakiej jest obecnie tak cenna inicjatywa jak Teatr Szwalnia.

Zapytany, czy przestrzenie pofabryczne to odpowiednie miejsca dla kultury i sztuki, prezes Towarzystwa Przyjaciół Łodzi Ryszard Bonisławski, regionalista, przez lata felietonista „Kalejdoskopu”, zwrócił uwagę, że wszystko należy budować na pewnej strategii, do niej trzeba dopasować taktykę. Łódź narodziła się jako miścinka, w której ludzie nie mieli potrzeb kulturalnych czy sportowych, a gdy w XIX wieku zaczęła stawać się miastem przemysłowym, też nikt nie planował tu przestrzeni dla kultury. Dopiero potem rodziły się potrzeby, od lat 40. XIX wieku zaczęły tu przyjeżdżać trupy teatralne, a goszczono je w przypadkowych lokalach. - Ale Łódź zaczynała się cywilizować, rodziła się w łodzianach chęć dogonienia Europy, budowano teatry - mieliśmy szczęście, bo był prywatny przedsiębiorca Fryderyk Sellin, który ulokował pieniądze w teatrach. Zbudował największy teatr w Polsce - na Legionów 16, obok były jeszcze dwa teatry: stały i letni. Te miejsca stawały się kinoteatrami, potem kinami - mówił. - Dziś jest problem, gdzie zrobić koncert - robi się ad hoc na placu Wolności. Bezsensownie. Mamy przestrzenie, gdzie można by to było ulokować. W okresie międzywojennym postanowiono uporządkować sprawę, określono strategię dla miasta, która przewidywała wyrzucenie przemysłu z centrum Łodzi. Nie zrealizowano tego pomysłu, bo 20 lat to za krótko, ale zgodnie z tą strategią zbudowano w Łodzi najnowocześniejsze szkoły w Polsce, niemal od podstaw zbudowano służbę zdrowia. U nas jest tak, że każda władza tworzy jakąś strategię. Nikt ich nie realizował, tylko każdy kolejny prezydent chciał mieć własną. Środek placu Dąbrowskiego jest zagospodarowany w sposób komiczny. Do Teatru Wielkiego przesłałem chodzić, bo tam nie ma gdzie zaparkować, a wystarczyło podczas remontu zaplanować podziemny garaż. Plac niczemu nie służy. Po wyjściu z teatru przemyka się tylko przez niego na przystanek. Tak samo plac Wolności, o którym chyba od 20 lat mówi się, że to będzie przyjazna przestrzeń, ale nic się tam nie dzieje.

Co z presją artystów?

- Z drugiej strony są przestrzenie na placu Dąbrowskiego czy Starym Rynku, ale nie widzę presji ze strony artystów, którzy chcieliby nimi efektywnie zawładnąć. Nie widzę też „ssania” ze strony

publiczności. Nie widzę konsumentów wydarzeń artystycznych - dodał Maciej Musiał. I pytał: - Być może należałoby znaleźć tę publiczność i namówić ją, by wyszła z domu. Żadna władza nie jest obojętna wobec masy ludzi, która w czymś uczestniczy i musi się do tego jakoś odnieść.

- Ale oferta artystów też czasami nie jest zachwycająca. Artyści przyjęli, że są mądrzejsi od publiczności - jeśli nie rozumiecie, to widocznie jesteście głupszy. Choć wywodzę się z tego środowiska, sam często jestem w sytuacji widza, który kompletnie nic nie rozumie - przyznał Dariusz Fiet. - Artysta musi się starać o autentyczną publiczność, nie tylko o znajomych i czuć się dobrze we własnym sosie.

Marcin Polak jako ciekawy przykład przywołał pomnik jednorożca, który jest inicjatywą u swego zarania społeczną. - Wymyślił go jakiś koleś i przeprowadził całą procedurę przez budżet obywatelski, a później miasto zorganizowało konkurs, w którym startowało mnóstwo artystów. Tutaj strona społeczna i artyści stanęli na wysokości zadania, natomiast miasto nie. Miejskie konkursy to temat na inną dyskusję - mówił.

Dariusz Fiet dodał, że artyści rozleniwili się i bardziej zabiegają o fundusze niż o autentyczność i prawdziwą publiczność, Aleksandra Litorowicz nie zgodziła się z Maciejem Musiałem. - To nie jest tak, że jest zapotrzebowanie na sztukę w przestrzeni publicznej, więc ona powstaje, ale ważne w sztuce, zwłaszcza czasowej, w przestrzeni publicznej, jest to, że ona natrafia na tzw. pierwszą publiczność - czyli nie tę, która ma aparat pojęciowy, jest przyzwyczajona do obcowania ze sztuką. Trafia na odbiorcę zróżnicowanego, o różnych gustach artystycznych. Ta sztuka wychodzi do publiczności, by zadawać jakieś pytania. Nie chodzi o to, by taka sztuka była ze spiżu, ale o to, by się na nią natykać.

Interwencje nie tylko pozytywne

Badania, które prowadziła Litorowicz na temat sposobów „używania” placów pokazały, że ludzie przez place głównie przechodzą, więc powstaje pytanie, czy sztuka czasowa mogłaby to przechodzenie dowartościowywać. Bo sztuka w przestrzeni publicznej wychodzi do nieokreślonego, niezdefiniowanego, przypadkowego odbiorcy i może inicjować, odsłaniać jakieś procesy. - Artyści mogą mieć ciekawe i nieciekawe propozycje, ale nie wyobrażam sobie zapotrzebowania na sztukę efemeryczną, która wychodzi od publiczności. W ramach wystawy zrobiliśmy trzy performensy na różnych placach w Warszawie. Np. Oskar Dawicki na plac Zbawiciela, czyli młodzieżowe, wieczorami tętniące życiem miejsce, zaprosił 150 seniorów - na chwilę zmienili strukturę wiekową. Bawili się z młodymi, a potem zablokowali plac swoim marszem, pokazując, że w 2050 roku to oni będą większością w naszej przestrzeni publicznej. Ludzie się przyłączali. Intuicja artystyczna wyczuła problem, oparła się na badaniach przestrzeni publicznej - relacjonowała Litorowicz. - Ale nie czuliśmy zapotrzebowania publicznego na tego typu działania. Mamy zresztą też przykłady nieudanych działań artystycznych na placach - nie podtrzymywane przez długofalowe działania nie zmieniają kompletnie nic. Nie jest tak, że wprowadzenie sztuki do przestrzeni publicznej na pewno coś zmieni w mieście. Pozytywnym przykładem jest interwencja artystyczna Joanny Rajkowskiej na placu Grzybowskim, gdzie stworzyła stawik, nad którym ludzie siadali. Zmieniła miejsce o nieprzyjemnej atmosferze. Dziś jest to najlepiej postrzegany plac przez mieszkańców Warszawy. Artystka i obrońcy stawiku wpłynęli na to, że w projekcie stałej rewitalizacji tego miejsca pojawiło podobne rozwiązanie - z zielenią i wodą.

Do dyskusji włączyła się publiczność, w tym przysłuchująca się rozmowie Dagmara Śmigielka, dyrektor Wydziału Kultury, komentująca m.in. sytuację Teatru Szwalnica, Dętki, relacji między środowiskiem kulturalnym Łodzi a urzędem, mówiąca o małym angażowaniu się animatorów kultury w prace np. Komisje Dialogu Obywatelskiego przy magistracie, które - jej zdaniem - są

najwłaściwszym adresem do artykułowania pomysłów i rozwiązań. W tym momencie doszło do emocjonalnej wymiany zdań między Śmigielką a Polakiem, który wypomniał jej nieobecność w czerwcu na publicznej debacie w OFF Piotrkowskiej o Manifeście Wolnej Kultury Łodzi oraz na dyskusji o nim, która we wrześniu odbyła się pod szyldem „Kalejdoskopu” w Łódzkim Domu Kultury (zaczęliśmy nią cykl jesienno-zimowych wydarzeń jubileuszowych „Kalejdoskop w drodze”).

Odpowiadając Fietowi na jego pytanie, dlaczego Wydział Kultury nie pomógł mu zdobyć lokalu z puli „dla kreatywnych”, Dagmara Śmigielka przyznała, że lokale kreatywne nie są w gestii Wydziału Kultury. A gdy wskazał on, że pracownie dla artystów są po prostu drogie („Na św. Jerzego płacę za 50 metrów z ubikacją na korytarzu, bez remontów, 600 zł” – mówił Fiet), przyznała, że przyjrzy się wysokościami stawek dla artystów.

Mówiła też: – Gdyby to Wydział Kultury ustalał czynsze, byłibyśmy za tym, by państwo płacili minimalną stawkę. Mówią państwo „urzędnicy”, „miasto”, a ja pytam, kto to są ci urzędnicy. To ludzie, których państwo wybierają. Przez 4 lata nie spotkaliśmy się na spotkaniach komisji kultury Rady Miejskiej. Dlaczego nie ma tego głosu tam, gdzie są radni, których państwo wybrali? Ja jestem na każdej komisji i czekam na wsparcie ludzi kultury. W pierwszej kolejności obowiązkiem miasta jest zapewnić byt istniejącym instytucjom kultury – tak mówi ustawa. Jeśli państwo uważają inaczej, to jest możliwość likwidacji instytucji. Mam 2 miliony na granty dla organizacji pozarządowych, a zgłaszane są projekty za 10 milionów – to ile zostaje odrzuconych przez komisję, w tym bardzo dobrych? Co do dużych jednorazowych wydarzeń: mówił pan o „Carminie Buranie”, o koncercie Bocellego. Pytają państwo, co zostaje po takich wydarzeniach – właśnie to. Ludzie muszą jeździć za granicę, by zobaczyć coś takiego. Nie spieramy się o to, czy to jest lepsze czy Szwalnia, ale czy coś po tym zostało. Po wielu latach wspominamy te wydarzenia jako fantastyczne. Jeśli chodzi np. o miejsca dla sztuki, to kto powinien wyjść z inicjatywą: my czy artyści? Aby móc o tym rozmawiać, trzeba się spotykać.

– Dlaczego nie chodzimy na komisje? Bo nasz udział w komisjach nie jest obowiązkiem, inaczej niż, wydaje mi się, pani. Na nasze działania poświęcamy wiele czasu, także własnych pieniędzy, prowadzę miejsce, w którym się pisze o kulturze, na co nie udaje mi się pozyskiwać środków w mieście – odparł Marcin Polak. – W naszym Manifeście Wolnej Kultury Łodzi jest parę rozwiązań, dzięki którym można by stworzyć mechanizmy tak, że nie musielibyśmy się spierać o to, kto ma do kogo przychodzić.

ATN , red.